



LAUREAT LITERACKIEJ NAGRODY NOBLA

MARIO  
VARGAS  
LLOSA

znak

BURZLIWE CZASY

Choć nieznani szerokiej publiczności i nie rzucający się w oczy na kartach podręczników historii, na losy Gwatemali, a poniekąd całej Ameryki Centralnej w dwudziestym wieku, mieli prawdopodobnie największy wpływ dwaj mężczyźni, Edward L. Bernays i Sam Zemurray. [...]

– A co mamy zrobić, żeby przekonać tę parszywą prasę liberalną? [Spytał Sam Zemurray, właściciel United Fruits].

Bernays uśmiechnął się i znowu zamilkł. Jak wytrawny aktor powiódł dumnym wzrokiem po członkach zarządu.

– Po to właśnie jest król public relations, czyli ja – powiedział kpiącym tonem, bez krzty skromności, jakby tracił czas, przypominając obecnym, że Ziemia jest okrągła. – Po to, proszę panów, mam tylu przyjaciół wśród właścicieli, redaktorów naczelnych i szefów czasopism, rozgłośni radiowych i kanałów telewizyjnych w Stanach Zjednoczonych. Trzeba będzie działać dyskretnie i zręcznie, żeby media nie poczuły się wykorzystywane. Wszystko musi potoczyć się tak spontanicznie, jak sama natura dokonuje swych cudownych przekształceń. Wszystko musi wyglądać, jakby chodziło o rewelacje, które odkrywa i wyjawia światu wolna i postępową prasa. Trzeba będzie umiejętnie masować ego dziennikarzy, bo mają je zazwyczaj wyrosnięte. Kiedy Bernays skończył mówić, głos zabrał ponownie Sam Zemurray.

– Proszę, tylko nie mów nam, ile będzie kosztował ten dowcip, który opisałeś tak szczegółowo. Tyle traum na jeden dzień całkowicie wystarczy.

– Nie powiem ani słówka – obiecał Bernays. – Ale ważne jest, żeby panowie zapamiętali jedną rzecz: firma zyska znacznie więcej niż to, co wyda na tę operację, jeśli uda nam się nie dopuścić, żeby w tej połowie wieku Gwatemala nie została nowoczesną demokracją, o jakiej marzy prezydent Arévalo. [...]

Wszystko, co powiedział Edward L. Bernays na pamiętnym posiedzeniu zarządu United Fruit w Bostonie spełniło się co do joty, potwierdzając, notabene, wspomnianą wcześniej tezę, że wiek dwudziesty będzie wiekiem reklamy jako pierwszorzędnego narzędzia władzy i manipulacji opinią publiczną w społeczeństwach tak demokratycznych jak i autorytarnych.

Pod koniec rządów Juana José Arévalo, a w szczególności za rządów pułkownika Jacobo Árbenza Guzmána, Gwatemala zaczęła pojawiać się w prasie Stanów Zjednoczonych, w reportażach, w których „The New York Times”, „The Washington Post” czy tygodnik „Time” wskazywały na rosnącą groźbę dla wolnego świata, jaką stanowił nasilający się wpływ Związku Radzieckiego w tym kraju, wywierany za pośrednictwem rządów, które, choć z pozoru demokratyczne, były w rzeczywistości przeniknięte przez komunistów, działały na ich korzyść niczym pożyteczni idioci, ponieważ podejmowały działania godzące w praworządność,

panamerykanizm, własność prywatną, wolny rynek, i podsycali walkę klas, nienawiść do podziałów społecznych, a także wrogość wobec prywatnej przedsiębiorczości.

Dzienniki i czasopisma Stanów Zjednoczonych, które nigdy wcześniej nie interesowały się Gwatemalą, Ameryką Centralną czy nawet Ameryką Łacińską, dzięki zręcznym zabiegom i stosunkom Bernaysa zaczęły wysyłać korespondentów do Gwatemali. Ci zamieszkiwali w hotelu Panamerican, którego bar przerodził się niebawem w autentyczne międzynarodowe centrum prasowe, gdzie otrzymywali teczki z materiałami dokumentującymi pogłoski i podejrzenia – ruch związkowy jako narzędzie konfrontacji i postępująca destrukcja przedsiębiorczości prywatnej – oraz uzyskiwali wywiady, zorganizowane lub zarekomendowane przez Bernaysa, z właścicielami ziemskimi, przedsiębiorcami, duchownymi (raz nawet z samym arcybiskupem), dziennikarzami, przywódcami opozycji, pastorami i przedstawicielami najróżniejszych profesji, którzy potwierdzali, przytaczając szczegółowe dane, obawy targające krajem przekształcającym się nieuchronnie w sowieckiego satelitę, poprzez którego międzynarodówka komunistyczna zamierzała zniweczyć wpływ i interesy Stanów Zjednoczonych w całej Ameryce Łacińskiej.

Począwszy od pewnego momentu – a konkretnie, gdy rząd Jacobo Árbenza rozpoczął wdrażanie reformy rolnej – zabiegi Bernaysa względem właścicieli i naczelnych gazet i czasopism przestały być potrzebne: trwała zimna wojna i w kręgach politycznych, przedsiębiorczych i kulturalnych Stanów Zjednoczonych zapanował autentyczny niepokój, w związku z czym same media skwapliwie wysyłały korespondentów, by zobaczyli na własne oczy sytuację w tym malutkim państewku opanowanym przez komunistów. [...]

Sam Zemurray zmarł w listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, u progu osiemdziesiątego czwartego roku życia. Od dawna już nie zajmował się interesami, mieszkał w Luizjanie, pływając się w zarobionych milionach, i wciąż jeszcze nie mieściło mu się w głowie, że to wszystko, co zaplanował Edward L. Bernays na owym bostońskim posiedzeniu zarządu United Fruit wiele lat temu, spełniło się tak dokładnie. Nie podejrzewał wówczas, że La Frutera, choć wygrała tę wojnę, zaczyna się powoli rozpadać i że za kilka lat jej prezes popełni samobójstwo, firma zniknie i pozostaną po niej tylko złe i najgorsze wspomnienia.

[...]

Pewnej nocy, już leżąc w łóżku, Jacobo i María Vilanova rozmawiali po ciemku. W którymś momencie jego żona powiedziała: „Kiedy zrzuca się kamyczek ze szczytu góry, można wywołać lawinę”.

I tak się stało. Indianie przebudzili się wreszcie, ale nie mieli cierpliwości i chcieli, by wszystkie reformy zostały przeprowadzone natychmiast. Ale czy to rzeczywiście Indianie, masy chłopskie, stali za tymi najazdami, czy małe grupki miejskich agitatorów? Albo sami ziemianie i Frutera, by móc potem oskarżyć rząd o ekstremizm?

Przyjaciele gratulowali mu pięknej obrony projektu w trakcie tych trzech wysłuchań. Nawet przeciwna mu prasa z uznaniem pisała o odwadze i solidności, z jakimi odpowiedział wrogom, lecz „El Imparcial”, „La Hora” i kilka innych gazet wciąż twierdziły, że dekret będzie początkiem rewolucji komunistycznej w Gwatemali.

Być może największą niespodzianką dla Árbenza w tamtych pełnych wrażeń dniach, kiedy, przyjęty z drobnymi poprawkami przez Kongres, wszedł w życie Dekret 900, były ataki prasy zagranicznej, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, oskarżające rząd o to, że wypełnia rozkazy Związku Sowieckiego i konspiruje z nim, by utworzyć komunistyczną piątą kolumnę w Ameryce Centralnej, skąd Sowieci będą mogli zagrozić Kanałowi Panamskiemu, ośrodkowi strategicznemu dla transportu morskiego i wolnego handlu na kontynencie amerykańskim.

Zdumiony, zadawał sobie pytania, na które nie znajdował odpowiedzi. Jak to było możliwe? Czy prasa w USA nie była wolna? Jak mogli wszyscy sprzysiąc się, by przedstawiać wypaczony, karykaturalny obraz działań jego rządu? Czyż to nie model demokracji północnoamerykańskiej próbował wdrożyć w swoim kraju? Czy w Stanach Zjednoczonych istnieje feudalizm? Czyż dekret o reformie rolnej nie miał promować ducha przedsiębiorczości, wolnej konkurencji i własności prywatnej? A on, naiwniak, zawsze wierzył, że to z USA przyjdzie największe poparcie dla jego polityki modernizacji Gwatemali i wydobywania jej z epoki jaskiniowej.

[...]

Martita przewróciła się raz jeszcze w łóżku, pogrążona w przyjemnej drzemce. Nie wkładała już koszuli nocnej, była naga; dotyk jedwabnej pościeli dawał jej ciału uczucie świeżości i przejmował ją dreszczem. Jak kocha się ta obrzęknięta galareta, dominikański attaché wojskowy? Nigdy nie widziała tak mało przystojnego mężczyzny jak Johnny Abbes García, ale i tak, a może właśnie dlatego, zaintrygował ją; od kiedy go poznała, myślała o nim bardzo często. Dlaczego? Co takiego było w tym Dominikańczyku, co zasługiwałoby na ciekawość,

jaką w niej budził? Jego fizyczna szpetota? „Czy aby nie jesteś zboczona?”, zastanowiła się. „Ma złą sławę, z tego co słyszałem”, powiedział jej Carlos w dniu, kiedy poprosiła go o audiencję. „Robi jakieś ciemne interesy z Trinidad Olivą. Osilek poprosił mnie o pozwolenie na otwarcie kasyna, chrzaniąc, że chodzi o przyciągnięcie turystów. Odmówiłem mu, a teraz okazało się, że i tak je otworzył, z dominikańskim attaché wojskowym jako współnikiem, przez podstawionego typa spod ciemnej gwiazdy, Ahmeda Kurony’ego, tureckiego przemytnika. Popatrz, jacy spryciarze. Nie uda im się, zapewniam cię.”

Ciemne interesy, kasyna? Wspólnik i kumpel Trinidad Olivy, szefa służby bezpieczeństwa Carlosa? Co miało oznaczać to wszystko? Abbes García był tajemniczym osobnikiem, coś skrywał, coś szpetnego powodowało jego krokami, inicjatywami, działaniami: Martita była pewna przynajmniej tego. Ale czego dokładnie chciał? Jakiej natury były jego ciemne zamiary? Politycznej, ekonomicznej? Czyżby on też był z CIA jak Mike? Zbliżył się do niej i zaprzyjaźnił z nią tylko po to, żeby uzyskać dla niego spotkanie z prezydentem, które miało odbyć się tego ranka? Nie, to nie mogło być tylko dlatego. Być może te wszystkie odwiedziny i prezenciki – kwiaty, perfumy, wyroby ludowe – które znosił jej przez ostatnie tygodnie znaczyły po prostu, że podoba mu się, że marzy o pokochaniu się z nią. Czy nie było tak z wieloma mężczyznami, którzy kręcili się koło niej? I to mimo zazdrości Carlosa! Miss Gwatemali dotknęła się w kroczu, pomiędzy nogami, i odkryła, że jest mokra. Wspomnienie tego brzydala podnieca ją? Zaśmiała się bezgłośnie z samej siebie. Miała czas.

[...]

Marta ubrała się najbardziej elegancko, jak mogła – niemal nie miała w czym wybierać – i wzięła taksówkę, która zawiozła ją o wyznaczonej godzinie do Pałacu Narodowego. Jakiś oficer poprowadził ją długimi korytarzami gmachu, który o tej porze zaczynał już pustoszeć, i zostawił ją w sekretariacie, gdzie musiała poczekać kilka minut. Wreszcie otworzyły się drzwi gabinetu prezydenta i zaproszono ją do środka. Czarny Trujillo miał na sobie generalski mundur, z rzędami odznaczeń na piersi. Zaraz po wejściu Martita poczuła klimatyzację, która zmieniła biuro w chłodnię. Prezydent wywarł na niej jak najgorsze wrażenie. Rozmawiał przez telefon i dał jej gestem znak, żeby usiadła; bardzo ją zirytowała bezczelność, z jaką lustrował ją z góry na dół żółtawymi, pożądlivymi oczami, prowadząc rozmowę. Potrwała jeszcze kilka minut i przez ten cały czas przyglądał się jej, rozbierając ją wzrokiem, z całkowitym bezwstydem i impertynencją. Poczula, że narasta w niej gniew.

Kiedy odłożył słuchawkę, uśmiechnął się do niej szeroko, od ucha do ucha. Podszedł podać jej rękę i usiadł naprzeciwko. By krępyim Mulatem, raczej niskim, z wydatnym brzuszyskiem.

– Miałem wielką ochotę poznać panią – powiedział, nie spuszczać z niej bezczelnego wzroku. Miał bardzo ciemną skórę, szerokie, mięsiste wargi i malutkie rączki, którymi przesadnie gestykulował. – Od lat słucham pani audycji w La Voz Dominicana i gratuluję pani. Pani poglądy są moimi, rzecz jasna. I rządowymi.

– Bardzo dziękuję, panie prezydencie – odparła. – Czy mogę zapytać, czemu zawdzięczam zaszczyt tego zaproszenia?

– Powiedziano mi, że jest pani nie tylko dobrą dziennikarką, ale i bardzo piękną kobietą – oznajmił prezydent, wbijając w nią obsceniczny wzrok z iskierką szyderczego uśmiechu. – A ja, muszę pani wyznać, mam słabość do piękna.

Marta nie poczuła się skomplementowana, lecz znieważona. Nie wiedziała, czy bardziej irytuje ją spojrzenie, czy metaliczny głos, nieco przeciągły i rozwiązły, rozmówcy.

– Mówmy bez ogródek – powiedział ów nagle, wstając. – Jestem człowiekiem bardzo zajęтым, jak z pewnością wyobraża sobie pani, Martita. Przejdźmy zatem do sedna tej wizyty.

Podszedł do biurka, podniósł leżącą na nim kopertę i wręczył jej. Zbita z tropu, nie wiedząc, jak się zachować i co powiedzieć, Martita uznała, że ją otworzy. W środku znajdował się czek, podpisany „Héctor Bienvenido Trujillo”, a miejsce do wpisania kwoty było puste.

– Co to ma znaczyć, panie prezydencie? – szepnęła, nie przyjmując jeszcze do wiadomości, co to znaczy.

– Sama wpisz kwotę – powiedział Czarny Trujillo, wciąż omiatając ją pożądliwym wzrokiem od stóp do głów. – Będę cenił cię tak, jak ty się wycenisz.

Martita również wstała. Była blada i drżała na całym ciele.

– Nie mogę tracić czasu na te rzeczy – powtórzył; mówił bardzo szybko, bez namysłu. – A ściślej rzecz biorąc, nie mam czasu, żeby tracić go na romantyczne słówka. Tak że mówmy bez ogródek. Mam ochotę pokochać się z tobą i spędzić kilka miłych chwil. I zamiast robić ci prezenty wolę, żebyś zrobiła je sobie sa...

Nie dokończył, bo Marta uderzyła go w twarz tak mocno, że zachwiał się. Ale to nie było wszystko. Nie dawszy mu czasu na reakcję, rzuciła się na niego, i wałąc weń obiema rękami i krzycząc „Nie pozwolę się obrażać, ani panu, ani nikomu!”, gryzła go w ucho, mimo że po chwili on też zaczął ją bić. Nie puściła jego ucha, wpiła w nie zęby z wszystkich sił, z wściekłością buchającą z niej wszystkimi porami. Usłyszała, że coś krzyczy, otworzyły się

drzwi, wpadli ludzie w mundurach, pochwycili ją, odciągnęli od prezydenta, a ów, uwolniony, podniósł obie dłonie do ucha, które niemal mu odgryzła, wrzeszcząc:

– Do lochu, do lochu z tą zasraną wariatką!

Chyba zemdląła od ciosów, które na nią spadły, podczas gdy ochroniarz prezydenta próbował odciągnąć ją od niego. Niejasno, jak przez sen, przypominała sobie, że wlekli ją korytarzami, a potem po schodach. Odzyskała przytomność dopiero w czymś w rodzaju celi, kanciapie bez okien, w którym znajdowało się tylko jedno krzesło. Oświetlało je słabe światło pochodzące z żarówki, wokół której krążyły muchy i komary...

[...]

– Wszyscy śpią, prędzej czy później – powiedział Dominikańczyk. – Jeśli tej nocy sprawy potoczą się źle i nas złapią, ty i ja też będziemy gadać jak papugi.

– Ja nie będę – oświadczył Enrique bardzo stanowczo, uderzając ręką w kontuar. – A wiesz, dlaczego? Bo to nie zda się na nic. I tak nas zabiją. W takim razie lepiej jest zaprzeczać wszystkiemu albo milczeć do końca. To by było mniejsze zło.

– Nie żebym miał takie doświadczenie jak ty – odezwał się Dominikańczyk po chwili milczenia. – Ale kiedy byłem w Meksyku na kursach dla policji, o których ci opowiadałem, podarowali mi książkę. Wiesz, jaki był tytuł?

Enrique odwrócił się, żeby popatrzeć na niego i czekał bez słowa na odpowiedź.

– *Chińskie tortury* – powiedział Dominikańczyk. – Chińczycy zasłynęli jako handlarze i z tego, że zbudowali Wielki Mur. Ale tak naprawdę największym dowodem ich geniuszu są tortury. Nikt nie wymyślił tylu i tak strasznych jak oni. Kiedy ci mówiłem, że wszyscy mówią prędzej czy później, myślałem o tej książce.

Bolera Leo Mariniego umilkły, a mały Indianin skończył zamiatać wióry z podłogi burdelu gringi Miriam i zniknął, nie spojrzawszy na nich ani razu. Byli panami i władcami lokalu. Gdy ucichła muzyka, z oddali dobiegał od czasu do czasu dźwięk przejeżdżającego samochodu. Dominikańczyk pomyślał, że pewnie zaczęło już padać. Nie lubił deszczu, za to owszem, tęcze, które po ulewie wypełniały kolorami niebo nad Gwatemalą.

– Zdrowie – powiedział Enrique. – Za Chińczyków.

– Zdrowie – powiedział Dominikańczyk. – Za tortury, które rozwiązują język.

Wypili łyk rumu, a Enrique przypomniał:

– Ja widziałem, jak opierali się najgorszym torturom ludzie, którzy woleli umrzeć niż wyśpiewać nazwiska i adresy albo oskarżyć swoich kolegów. Fakt, że niektórzy wcześniej świrowali. Tak że mówię ci to, co mówię, ze znajomością rzeczy.

– Nie żebym ci nie wierzył – odparł Dominikańczyk. – Zapewniam cię tylko, że gdybyś miał przy sobie moją książkę *Chińskie tortury*, ci bohaterowie, którzy nic nie powiedzieli, wyśpiewaliby wszystko to, co wiedzą, a nawet czego nie wiedzą.

– Ty zawsze swoje, *vos* – zaśmiał się Enrique. – Uwielbiasz gadać o torturach, cipkach, które wylizales albo chciałbyś wylizać, o różokrzyżach, o których nikt nie wie, co to za czort. Wiesz, kto ty jesteś? Maniak. Żeby nie powiedzieć „zbocheniec”.

– Może i tak – wzruszył ramionami Dominikańczyk, kiwając głową. – Coś ci powiem. Kiedy musiałem zmusić kogoś do mówienia, stosując tortury, miałem potem ochotę śpiewać. Albo recytować wiersze Amada Nervo, które bardzo lubiła moja mama. Zwykle nie robię takich rzeczy. Nie śpiewam, nie recytuję wierszy. Nigdy mi to nie przyjdzie do głowy. Tylko kiedy muszę zrobić komuś krzywdę, żeby zaczął mówić. Ta książka *Chińskie tortury* zauroczyła mnie na długo. Czytałem ją raz i drugi i trzeci, śniła mi się, nawet dokładnie pamiętam ilustracje. Mógłbym je odtworzyć. Dlatego, zapewniam cię, żaden z tych bohaterów nie milczałby, gdybyś miał ze sobą moje *Chińskie tortury*.

– Następnym razem poproszę, żebyś mi ją pożyczył – uśmiechnął się Enrique, zerkając na zegarek. I skomentował: – Wystarczy, żebyś na coś czekał, a czas stanie w miejscu, *vos*.

– Napij się jeszcze i nie patrz już na zegarek – powiedział Dominikańczyk, sięgając po swój kieliszek i podnosząc go. – Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

– Za tortury Chińczyków – podniósł swój kieliszek Enrique, z rezygnacją, nie spuszczać wzroku z tarczy zegarka.

[...]

Chwilami przysypiała, a wówczas śniło jej się, że to wszystko to tylko koszmar, ale kiedy budziła się, pojmowała, że przeżywa to naprawdę. Ogarnęło ją fatalistyczne przeczucie, wręcz pewność, że te sukinsyny pozwolą jej umrzeć z głodu i że najgorsze momenty to będą te ostatnie. Przypomniała sobie nagle Ciudad de Guatemala, doktora Efréna Garcíę Ardilesa i synka, którego tam zostawiła, miał tylko kilka latek... Czy jego ojciec opowiadał mu o niej? Przyśniło się jej, że się posikała, a kiedy się obudziła, poczuła, że ma mokre majtki i spódnice. Czy zaraz też zrobi pod siebie kupę? Przypomniała sobie jak przez mgłę ojca, swoją nianię Símulę, która tak ją rozpieszczała. Czy jej synek żyje jeszcze? Będzie teraz miał z dziesięć lat.



Czy Efrén García Ardiles oddał go do sierocińca? Co się dzieje z Parowozikiem? Nigdy później nie miała o nim żadnych wieści. Kiedyś dostała kilka linijek skreślonych przez Símulę, która opowiadała jej o ojcu, wciąż zamkniętym w domu, trawionym zgryzotą. Bolał ją żołądek. Do tego ojca, którego uwielbiała jako małą dziewczynka i który ją odtrącił, czuła teraz nieprzewyciężoną urazę. Czy Arturo Borrero Lamas żył jeszcze? Pragnienie zaczęło ją dręczyć tak bardzo, że powlekła się do drzwi i waląc w nie, błagała krzykiem o szklankę wody. Ale nikt nie odpowiedział. Nie było w pobliżu żadnego strażnika, albo otrzymali rozkazy, żeby z nią nie rozmawiać. Ogarnęła ją wreszcie taka senność i słabość, że zaległa nieruchomo na ziemi, licząc w myśli; jej tajemna metoda z dzieciństwa, żeby zasnąć...